



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ZYCIE W OCEANIE.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Mięczaki.

Któż nie zna muszelek, którymi zasypane są wszystkie wybrzeża morskie! Kto nie widział piękniejszych muszli, zdobiących kominki i etażerki w naszych mieszkaniach.



Fig. 1. Ostryga (*Ostrea edulis*). Okazy osiadłe na palu różnego wieku, E, A, 15 dni do 14 miesięcy.

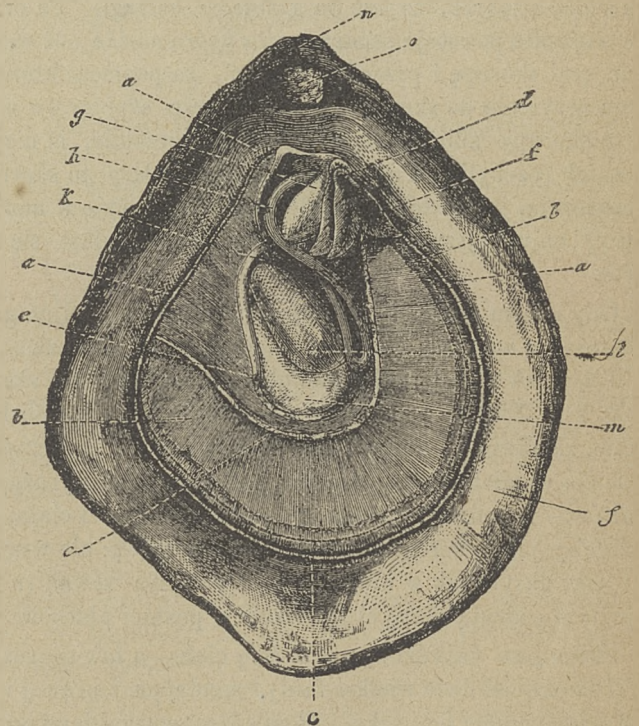


Fig. 2. Ostryga jadalna, z której zdjęto górną skorupę; n, zawiasa; o, wiązadło; d, gęba; f, płatki gębowe; b, skrzele; a, rąbek płaszcza; C, wątroba; m, trzewia; e, odchodek; h, kanał pokarmowy; s, skorupa dolna.

W skorupach tych żyły niegdyś zwierzęta, mające ciało zupełnie miękkie, i dlatego nazwano je *mięczakami*. Muszla jest przeto ochronną skorupą mięczaka, podobnie jak rurka u robaków morskich, z tą różnicą jednakże, że mięczak przez całe życie jest przyrośniętym do swej skorupy, wówczas gdy robak może uciec ze swej rurki i wybudować sobie nową. Mięczaki są niezmiernie liczne w morzu i miewają tak rozmaite kształty, iż, aby lepiej zrozumieć ich opis, zaraz na wstępie podzielimy je na trzy wielkie gromady:

1) Do pierwszej gromady zaliczamy mięczaki, uające dwie skorupy symetryczne, zamykające się i otwierające, jak okładki u książki. Zwierzęta te nazwano *małżami*; przykład: ostryga.

2) Mięczaki, posiadające jedną tylko skorupę *skreconą*; są to *ślimakowce*; przykład: ślimak ogrodowy.

3) *Głownogi*, nazwane tak z powodu, że głowę ich otaczają długie wyrostki, okryte smoczkami; są to jakby nogi, wyrastające na głowie; przykład: mątwa.

Małże są to mięczaki najmniej rozwinięte z tych trzech grup; nie mają nawet głowy, więc też trudno spodziewać się, abyśmy znaleźli między nimi zwierzęta tak zmyślne, jak np. niektóre skorupiaki i pierścienice. Weźmy jako przykład ostrygę. Oto mamy przed sobą kilka ostryg, przyczepionych do pała (fig. 1); są tu drobnuchne, młode, starsze i dorosłe. Każde zwierzątko zamknięte jest w szarej wapiennej skorupie, nierównej warstwowanej. Skorupa jest nieładna, ale niezmiernie wygodna, gdyż tak szczelnie zamyka się dokoła, iż nic nie widać, co się wewnątrz niej dzieje. Probujemy nożem rozchylić dwie skorupy, lecz niepodobna. Wiecie jednak zapewne, że ostrygi jadają się żywe i są nawet zalecane, jako bardzo zdrowy i pożywny pokarm, zwłaszcza dla osób chorych i osłabionych. Trzeba więc umieć otworzyć skorupę. Jedynym sposobem na to jest rozciąć nożem rogowate *więzadło*, które łączy obie skorupy w tem miejscu, gdzie widać wzgórek, to jest na grzbiecie ostrygi. Po przecięciu więzadła powstaje szpara, przez którą można noż wprowadzić pod skorupę i przeciąć mięsień, za pomocą którego ostryga przyrosła do skorupy. Gdy zwierzę *skurczy* ów mięsień, to skorupy zbliżają się ku sobie tak szczelnie, iż niepodobna ich rozchylić, a gdy mięsień się *wydluży* to skorupy się rozwierają, jak to bywa zwykle, gdy ostryga żyje w morzu; lecz przy najmniejszym ruchu w wodzie natychmiast się zamykają.

Gdy nożem przecięliśmy mięsień, to możemy odjąć górną skorupę, a wówczas ukaże nam się zwierzątko bezkształtne, leżące jak na talerzyku na dolnej, nieco większej skorupie (fig. 2). Niema tu ani śladu głowy lub nóg; ciało ślizkie, miękkie, zaledwie się kurczy, gdy go dotykamy. Jeszcześmy dotąd nie widzieli zwierzątka tak pozbawionego wyraźnych kształtów. A jednak posiada ono rozmaite części ciała, jak to: głowę, jelito, serce, wątrobę, mięśnie, nerwy; ale wszystko to jest ukryte jak w worku mięsistym. Na zewnątrz widać jedynie osłizgłą skórę oraz skrzele w postaci płatków.

Skóra jest najważniejszą częścią ciała, a tak się rozrasta, iż tworzy aż dwie wielkie fałdy, spadające z prawej i lewej strony poniżej brzuszka. Pomiedzy temi fałdami kryje się cała ostryga, jak między połami płaszczu; to też zoologowie nazywają *płaszczem* te fałdy skóry ostrygi, oraz innych podobnych jej mięczaków. Gdy odchylić połę płaszczu, to ukazują się płatkowate *skrzele*.

A teraz dowiedzieć się musimy, jak powstała skorupa ostrygi. Skorupa stanowi część ciała mięczaka, podobnie jak kości wchodzą w skład naszego ciała, i dlatego skorupa wyrasta już u maluczkiej ostrygi, jak to widzimy na ryc. 1-ej. Nie dosyć na tem; w miarę tego, jak ostryga rośnie, powiększa się jej skorupa przez powstawanie wciąż nowych warstw. Jednakże skorupa sama przez się rość nie może, gdyż jest martwą, jak kamień, te nowe warstwy wciąż płaszcz buduje, a mianowicie z rąbka płaszczu wypływa wapienny płyn, który potem zastyga i twardnieje. Skorupa ostrygi od wewnętrznej strony jest gładka i połyskująca rozmaitemi barwami, tę wewnętrzną warstwę wapienną w skorupach nazwano *perłową masą*.

Ostryga prowadzi żywot osiadły; przykleja się większą skorupą do podwodnych przedmiotów i tak pozostaje przyku-

ta do jednego miejsca. Żyje zwykle wielkimi gromadami i tworzy rozległe ławice! Ponieważ nie może ona szukać sobie pożywienia, więc pokarm musi przyjść do niej, a raczej przynosi go prąd wody. Zwykle siedząc w morzu, ostryga podnosi górną skorupę, jak wieczko, a woda swobodnie oblewa całe jej ciało i przynosi do skrzeli świeże powietrze do oddychania; przy najłżejszym zaś ruchu w morzu szybko wieczko się zamyka, i mięczak znowu jest ukryty. Koło gęby znajdują się małe płateczki, które wciąż drgając, sprawiają wir w wodzie i w ten sposób przyciągają do gęby przepływający koło niej pokarm, a ostryga polyka, co się trafi. Słusznie też powiedzieć możemy, że „pieczone gołąbki lecą jej same do gąbki”. Zresztą podobnym sposobem żywią się wszystkie zwierzęta stale przyrośnięte do jednego miejsca: mają zawsze jakieś drgające części ciała: płatki, niteczki, albo gałązki, za pomocą których przyciągają żywność, najczęściej roślinną.

Ostrygi poławiane są w wielkiej ilości, gdyż stanowią smaczne i delikatne pożywienie, a mieszkańcy krajów nadmorskich przekładają je nawet nad ryby. Ostrygi żyją w morzach: Śródziemnym, Czarnym, na południu Krymu, na brzegach morza Niemieckiego, oraz w całym Atlantyku, aż do wybrzeży Norwegii. Niema ich teraz w morzu Bałtyckim z powodu, iż woda jest w niem za mało słona, dawniej jednakże żyły one w tem morzu.

Ostrygi chowają swe jaja w fałdach od płaszczu, dopóki nie rozwiną się młode, następnie matka wyrzuca młode do morza. Składanie jaj trwa zwykle od maja do września, i w tym czasie nie należy jadać ostryg, gdyż mięso ich bywa niezdrowe, a nawet trujące. Ostrygi mnożą się bardzo szybko, gdyż każda z nich składa rocznie kilkaset tysięcy, aż do miliona jaj. Wiemy już, że ostrygi żyją gromadnie, tworząc ogromne ławice, to też ciekawy to niezmiernie widok, gdy dorosłe wyrzucają w morze młode. Ukazują się wówczas w morzu jakby gęsta chmura, złożona z żyjącego pyłku, lecz wkrótce fale chwytają go i rozpraszają na wszystkie strony; na miejscu pozostaje drobnuchna tylko cząstka tego, co ławica wydała.

Miliardy drobnuchnych żyjątek unoszą się wówczas na falach i jeżeli znajdą po drodze skały lub drzewo, to się do nich przyczepiają; jeżeli zaś nie napotkają żadnych stałych przedmiotów, to zginać muszą, gdyż znaczna część ich zostanie połkniętą przez inne zwierzęta, a część zginie w falach lub w mule. Ale jeżeli napotkają drobnuchne ostrygi skały lub drewniane słupy, umyślnie dla nich przygotowane, wówczas gromadą osiadają na nich „jak rój pszczół na gałęzi, gdy wyleci z ula”, przyklejają się i rosną szybko, tak, iż po upływie dwóch lub trzech lat każde maluczkie żyjątko staje się ostrygą jadalną.

Ludzie starają się, o ile możliwości, zapobiedz temu, aby młode ostrygi nie ginęły w morzu i aby mieć je w każdej chwili na żądanie. Na tem właśnie polega *hodowla ostryg*, datująca się przynajmniej od 2000 lat. Zwykle hodowcy ostryg odrywają je od ławic naturalnych i przenoszą do przygotowanych ławic sztucznych, tuczą tu ostrygi i wskutek tego nadają im smak lepszy. We Francji i innych krajach ostrygi hodowane są w tak zwanych *parkach*; są to zbiorniki wody, otoczone drewnianą lub murowaną ścianą, w której znajdują się okienka, zasłonięte gęstą, drucianą sztabką, przez którą woda morska płynie swobodnie do ogrodzonego zbiornika. Prócz tego są jeszcze oddzielne rurki i krany, które

wciąż świeżą wodę odlewają do parku, a inne wylewają wodę zużytą. Najsłynniejsze parki ostryg znajdują się w Ostendzie i Marennes. Ogrodzenia robią się dlatego, aby zatrzymać w parku młode, a także aby nie dopuścić do ostryg drapieżników, a zwłaszcza innych mięczaków, ostrygi bowiem smakują nie tylko ludziom, ale zwierzętom morskim. Łowią się zaś młode ostrygi w sposób następujący. Do dna morskiego przymocowują pęki suchych gałęzi, szorstkie słupy i deski, na których cementem przyklejają skorupy starych ostryg lub innych mięczaków; młode ostrygi, napotkawszy taką nierówną powierzchnię, łatwiej się do niej przyczepiają. Gdy młode osiadną na słupie, łatwo je wtedy przenieść wraz nim do innego miejsca np. do parku. Wreszcie do hodowli młodych ostryg, używają także specjalnych skrzynek, podobnych do uli, w których młode rozwijają się na drucianych półkach.

Kiedyśmy poznali tryb życia ostrygi, zrozumiemy teraz łatwiej jak żyją i rosną inne mięczaki dwuskorupne.

(d. c. n.)

KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Lecz Ujlakim nie uważał na przygody towarzysza, na skręcie bowiem Grodzkiej w rynek ujrzał kilku młodzieńców w podobnym, jak się zwykle nosił Andor, odzieniu, podał więc szybkim krokiem, bo mu się zdawało, że w jednym z nich poznaje swego wychowawcę.

Lecz młodzieńców setki dążyło; wychodzili oni z ulicy św. Anny i w rynku rozchodzili się na ciągnące dokoła, jak promienie uliczki. Ujlakim przypatrzył im się, oni jemu nawzajem z ciekawością młodzieńczą, i każdy biegł w swoją stronę. Była to bowiem godzina obiadowa, każdy ze studentów po pracy w akademii dążył, ażeby po posiłku ducha i umysłu posilić pragnące pożywienia ciało.

Aż jakiś młodzieniec, zbliżywszy się do Sandora, uchylił czapeczki i spytał po łacinie:

— Waszmość pierwszy raz w mieście, może mogę czem służyć.

— Tud ön magyarül beszilni?

To jest:

— Czy pan nie umie po węgiersku? — odpowiedział uśmiechając się Ujlakim.

— Aha, aha! — zawołał młodzieniec. Wskazał ręką, żeby na niego poczekał i pobiegł w swoją stronę.

Ujlakim choćby nie chciał, musiał czekać, bo idący wolno Kopaszad jeszcze był w głębi Grodzkiej ulicy. Szedł on o ile mógł najprędzej, sapiąc zawzięcie i odpoczywając co kilka kroków.

— Uuf! cóżeś waszmość tak ciekawego zobaczył, żeś poleciał, jakby ci ptak skrzydeł pożyczyl? — zapytał zziębły starosta.

Ujlakim opowiedział przyczynę, oraz spotkanie z młodzieńcem, który mu czekać kazał.

Czekać, to czekać, sprawa to ważna i nie można na wichrowatym koniu załatwiać — rzekł sapiąc, jak miech kowalski, Kopaszad. I obejrzał się dokoła.

Wspaniałe miasto, to prawda, aleć na ulicy stać nie wypada. Gapie nam się przypatrują, jeszcze wezmą za jakich

skoczków, broń Boże — rzekł starosta, gładząc się po okazalej figurze.

— Ot widzi waszmość, tutaj wisi winne grono, i wiecha także zatknięta, wejdźmy, przystojniej przecie w winiarni siedzieć posłom za stołem, aniżeli stać na ulicy — dodał, biorąc pod ramię towarzysza.

— A gdzież nas ów grzeczny kawaler szukać będzie — tłumaczył Ujlakim.

— Przecie go waś pozna, albo on nas zoczy, przecieśmy nie ździebełka, a i odmienni od tutejszych. Siądziem też w izbie zaraz przy wejściu.

Że zaś rzeczywiście ciekawych dużo się koło nich zbierało, Ujlakim dał się pociągnąć. Usłużny winiarz sam własnoręcznie postawił garniec, Kopaszad pociągnął z kubka splunął z niechęcią, dając poznać, że mu nie smakuje. Zaraz też zmieniono napitek i zamiast garnca, postawiono poważny gąsior.

Kopaszad postawił kubek a gdy mu nalano, pociągnął haust, mlasnął językiem, a pogładziwszy się po piersiach, okazał swoje zadowolenie. Ujlakim tymczasem patrzył w zamysleniu przez drzwi otwarte. Przechodnie się snuli, każdy przystanął, spojrzął na bogato przybranych panów i poszedł dalej. Młodzieńca jednak, którego baron Wrtoecz oczekiwiał, jak nie było, tak nie było.

Po chwili ujrzał go zdala, a obok niego towarzysza, na którego głównie zwrócił swoją uwagę. Wreszcie wybiegł z winiarni, wołając:

— Andor! Andor!

Weszli napowrót do izby, i Andor przypadł do kolan opiekuna.

— A też ten chłopiec, gdzie go nie posieją, tam wyrosnie — zaśmiał się z zadowoleniem Kopaszad, ocierając usta.

— Masz, wypij!

I podsunął mu kubek.

Andor skłonił się na podziękowanie.

— Kędyżes się znów podział? — spytał surowo opiekun.

— Gdyin się rozłączył z wami, mościwi mi panowie — począł młodzieniec — wpadłem zaraz w zasadzkę. — Ów poczet bowiem, o którym w Kiesmarku mówiono, rozdzielił się na dwie połowy, część jego nawet przekroczyła granicę. Wśród szukających w nowajcy był Tosz, o którym waszym wysokościom wspominałem; jego to bowiem przyłapano i jako obcego w Welehradzie o uniesienie skarbu posądzono. Tosz odrazu domyślił się, kto był sprawcą owego czynu, wytłomaczył się więc jakoś, ale zaraz dodał, że jeśli pościg ma być wysłany, prosi, aby go zabrali ze sobą, a on wyszuka winnego!

— Mówiłem, że ten Tosz musi być szubienicznik! — zawołał Kopaszad.

Ujlakim wrzucił ramionami, Andor się uśmiechnął, a towarzysz jego z dziwnym jakimś wyrazem twarzy uklonił się panu staroście.

— Nie rozwekając opowiadania — ciągnął dalej Andor — powiem, że mnie uwieziono, rozebrano z przebrania, a Tosz odrazu wyznał, że to jest ten sam, którego on polecił odzwier-nemu.

— Na gałąź z nim! — przerwał Kopaszad.

Lecz Andor tak dalej mówił:

— Tosz przypadł do nóg dowódcy i rzekł: „Czuję się współwinnym zbrodni, proszę więc, zamknijcie nas obu razem, abym mógł dostatecznie wybać mego niecnego towarzysza, kędy skarb przechował”. Wrzucono nas też razem do lochu, a zaledwie drzwi się zamknęły, gdy Tosz skrzesał ogień, zapalił kawałek łuczywa, które miał w zanadrzu, a pochwycawszy mnie za rękę, w głąb za sobą pociągnął. Na szczęście zamknięto nas tylko w jakiejś opustoszałej piwnicy, gdzie z drugiej strony licho opatrzony mur dawał doskonałe wyjście w zarośla. I oto przedzierając się przez noc całą, stanęliśmy obadwaj wczoraj jeszcze raniem w Krakowie — dodał, wskazując ręką na towarzysza.

— Aby oczekiwać waszych wysokości — dodał tenże, zginając się wpół i szastając nogą według dworskiego obyczaju.

— Toście dzielne chłopaki! — zawołał Kopaszad, śmiejąc się serdecznie. Godni jesteście wypić ze mną kubek — dodał i podsunął obudwom wino, którego woń przyjemna rozchodziła się dokoła.

Tosz nie dał sobie dwa razy powtarzać, ujął kubek, a przyklękając na jedno kolano, zawołał:

— Za zdrowie panów posłów, a moich dobrodziejów.

I wychylił duszkiem kubek.

— Dworus z waści, ale czy jeno tych dobrodziejów nie zdradzisz, jakoś ubiegł królowę dobrodziejkę! — rzekł Kopaszad i kazał mu nalać drugi kubek.

— Boga mi! — zaklął się Tosz. — Oddawna pragnąłem służbę u jejmości królowej opuścić, a do innego przystać pana. Tam oprócz krzyków i łajania nic więcej człowiek nie skorzysta. Zreszt. przecieżem nie żaden przechera ani odmieniec, jeno prawowity Węgier z krwi i kości — dodał butnie młodzieniec.

— Podobasz mi się, przyjmę cię do mego orszaku, a i na liczny moim dworze znajdzie się dla ciebie miejsce! — rzekł Kopaszad.

I wziął się pod bok dla nadania sobie większej powagi.

— Nie spodziewałem się nawet takiego szacunku i tak dostojnego protektora — odparł Tosz.

I skłonił się do samych nóg przyszedłemu swemu panu.

Tymczasem Andor, podziękowawszy za ofiarowany kubek, rozmawiał na uboczku z Ujlakimem:

— Czemuż nas nie szukał zaraz po przybyciu do miasta? — pytał tenże.

— Owszem, miłościwy ojcze i opiekunie. Najpierw więc po przybyciu wyszukałem znajomego swego, który był w Pits na uniwersytecie, a wiedziałem, że się przeniósł do akademii krakowskiej. Że zaś w gmachu akademickim wszyscy studenci są zapisani z imienia i nazwiska, łatwom zbiega znalazł. Ten przy pomocy swoich kolegów dostarczył mi i Toszowi przyzwoitego odzienia. Potem zaś obadwaj, każdy na swoją rękę robiliśmy starania, aby o panach posłach języka zasięgnąć. Ale Toszowi trudniej to było, musiał wszelką zachować ostrożność, nie znając ani was, miłościwy ojcze, ani jego wielmożności pana posła, mógł był łatwo wpaść w jaką zasadzkę. Któż wie, czy pościg za zbrodniarzem aż tutaj nie dotarł! — dodał, uśmiechając się smutnie.

— Hm, hm, może masz i rację! — rzekł Ujlakim z pewnym namysłem.

— Dlatego Tosz, zobaczywszy was, przemówił po łacinie i nie zdradził się, że was rozumie, lecz prosto przybiegł po mnie...

— Aha, aha! — pokiwał głową zwykle małomówny Ujlakim i pomyślał sobie:

— Doprawdy, te młokosy mają przebiegłość starych lisów!

— Wysłano pościg, lub nie — mówił dalej, idąc za swoją myślą Andor — ale tutaj otoczeni jesteście opieką jego excelencyi...

— Jakto? — przerwał Ujlakim.

— Zbieg bowiem, mój dawny kolega, jako rodzony bratanek jego excelencyi Zbigniewa, wyrobił mi u biskupa posłuchanie. Że zaś zbieg stryjowi swemu dobrze mnie przedstawił, znalazłem u niego łaskę i wszystko, jakom umiał, opowiedział.

— Opatrzność Boska, widocznie Opatrzność czuwa nad tobą, mój synu — rzekł Ujlakim.

— Nad dobrą sprawą, mój ojcze; nad sprawą, boć, mój taką gorzką dała odpowiedź swatom, że ci, zwróciwszy się od granicy, jak najgorzej umysły całego dworu ku Węgrom usposobili.

— Dlatego to nasi swatów polskich już na granicy nie zastali! — mruknął do siebie Ujlakim.

— A cóż wasze, mości baronie, swego wychowanka słowem chcesz tylko nakarmić! pozwólże mu choć dotknąć kubka! toć on nie baba, jeno zuch, co się nazywa! — wołał Kopaszad, dopijając już drugi z kolei gąsior.

— Et, co z was za towarzysz! istna baba, nie ubliżając! Do rady to tam niczego, ale do kielicha, pozał się Boże! — wołał podochocony pan poseł.

— Mogę? — zapytał Andor, wskazując na kubek.

Forsowna bowiem i pełna przygód podróż, bezsenne noce, niepewność, co stało z opiekunem i całą ważną sprawą, tak go wyczerpały, że teraz, czując się już bezpiecznym, uczuł zarazem, iż mu pokrzepienia potrzeba. Bez zezwolenia jednak opiekuna, mimo zachęty pana Kopaszada, nie chciał sięgnąć po napój.

— Pij, pij, zasłużyłeś na to! — rzekł Ujlakim. I wzięwszy sam kubek, trącił się z Kopaszadem, mówiąc:

— Za pomyślność sprawy!

— Ot tak, to mi się podob-

ba! — rzekł szanowny poseł i wychylił kubek.

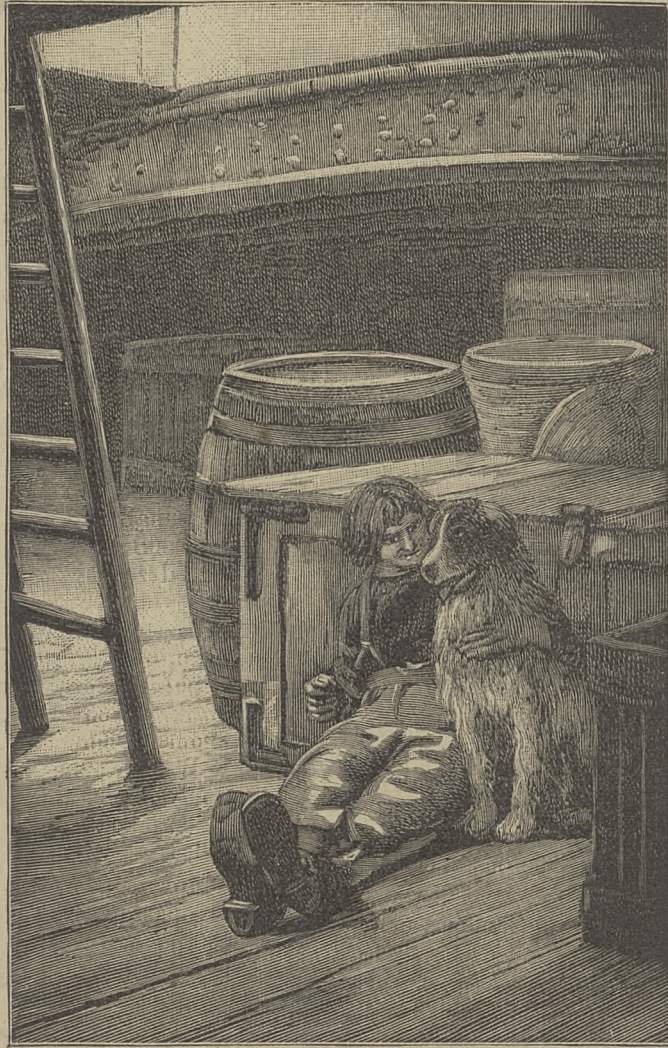
Wołał jeszcze o wino i rozochocony nie chciał wychodzić z winiarni, lecz Ujlakim przypomniał mu po co przyjechali.

Rzucił więc hojną zapłatę i, wzięwszy pod rękę Ujlakima, ciężkim krokiem wyszedł z winiarni.

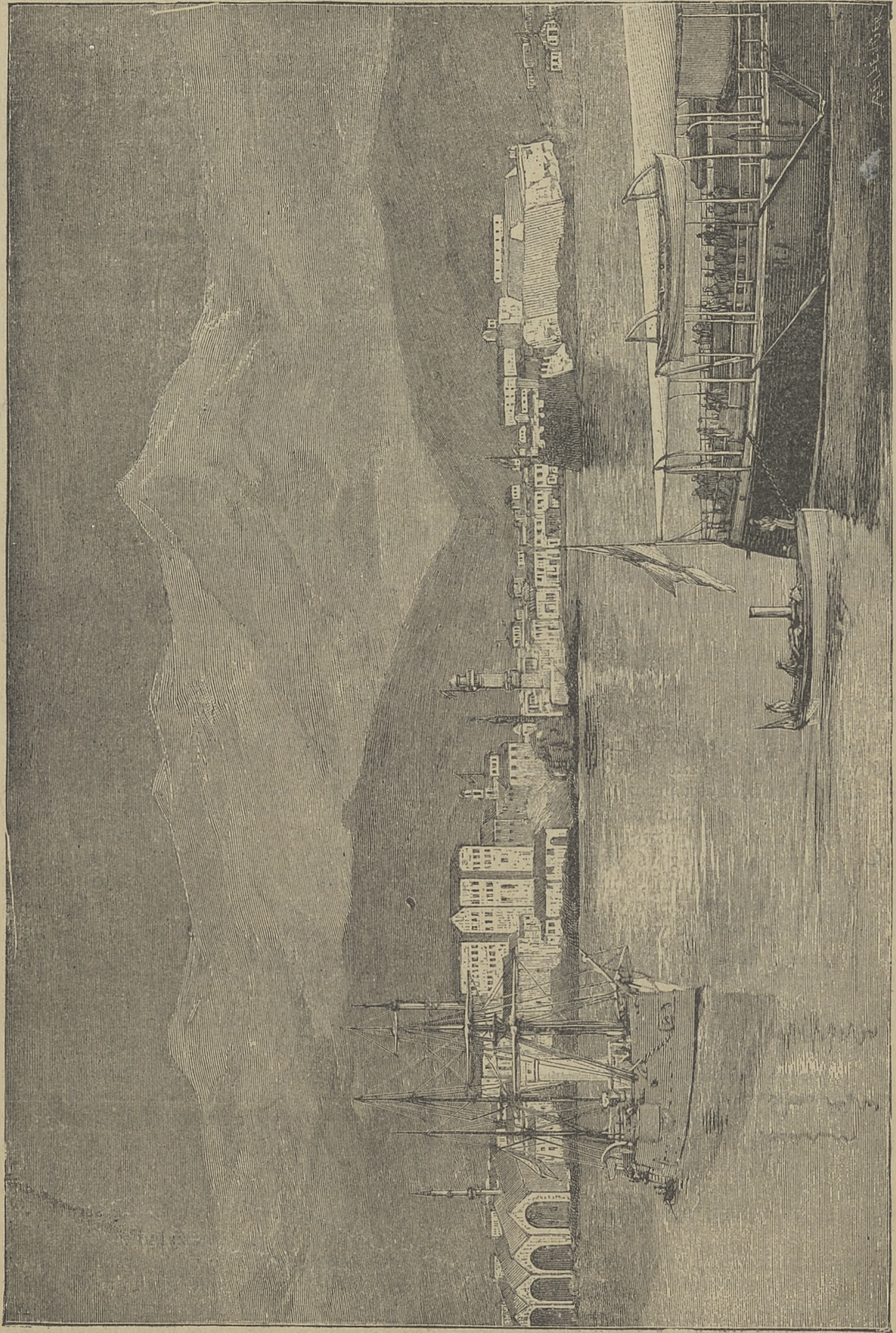
Tosz zaś wchodząc odrazu w rolę dworaka, zabrał rzucone rękawiczki oraz bogatą bekieszkę i niósł to wszystko za swoim nowym panem.

Chłód niezwykły w sierpniu i deszczem siejący, jak w jesieni, wytrzeźwił odrazu podochoconego posła, który, zdjąwszy czapkę, rzucił ją za siebie. Tosz podjął ją w lot i, śmiejąc się, rzekł do Andora:

— Jeżeli tak będzie zawsze, trzeba będzie nietylko czapkę ale i głowę nosić za panem.



Na jego prośbę zbito z desek wielką budę (str. 94).



Port w Kanei na wyspie Krecie.

Lecz Andor tak był w myślach zatopiony, że nawet nie zwrócił uwagi na słowa towarzysza.

Posłowie tymczasem szli już pewną drogą, Andor bowiem był dobrym przewodnikiem, doskonale zapamiętał ulicę, któremi szedł do biskupiego pałacu. Zresztą wszak ten pałac był chwilowem jego schronieniem, boć bratanek jego excelencyi mieszkał w tym samym co i stryj gmachu, należał do jego dworu i za pozwoleniem ochmistra towarzyszowi dał gościć.

(d. c. n.)

Wyspa Kreta.

Na Kretę zwróconą jest obecnie uwaga całego świata z powodu toczącego się na niej boju między chrześcijanami i muzułmanami. Większość mieszkańców tej wyspy, Greków, zdawna już wyzwolić się pragnie z pod jarzma tureckiego, rozpoczęła więc krwawą walkę z Turkami. Rząd grecki, pragnąc zgodnie z życzeniem Kreteńczyków, przyłączyć wyspę tę do swojego królestwa, wysłał wojsko na pomoc, ale większe mocarstwa europejskie, chcąc jeszcze powstrzymać upadek i rozbiór państwa tureckiego, nie zgadzają się na przyłączenie Krety do Grecyi, lecz żądają od Turcyi, aby nadała mieszkańcom wyspy zupełny samorząd. Jak się ta sprawa rozstrzygnie, dowiemy się prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości, tymczasem przytoczę wam garstkę wiadomości o tej pięknej, malowniczej, a tak nieszczęśliwej wyspie.

Kreta leży na południo-wschód od Grecyi na morzu Śródziemnem, u krańca tak zwanego Archipelagu, w jednakowej prawie odległości od trzech części świata, to jest Europy, Azji i Afryki. Klimat ma doskonały, grunt żyzny, a obfituje w najprzepyszniejsze płody, jakie tylko pod gorącym słońcem południa dojrzewać mogą. Za czasów Homera liczyła już podobno 90 miast, a starożytni Helleni nazywali ją „Wyspą szczęśliwych”. Od początku jednak naszej ery nazwa ta może być zastosowaną chyba przez ironię, albowiem mało jest krajów na kuli ziemskiej, których historia byłaby tak obfitą w morderstwa, wojny i najpotworniejsze okrucieństwa. Posiadaczami tej kwitnącej niegdyś wyspy byli kolejno: Rzymianie, Bizantyjczycy, Wenecyanie, a nareszcie Turcy, a wszyscy zaznaczyli swe rządy krwawymi czynami. Najdłużej trwała walka z Turkami, która obecnie wybuchła na nowo.

Co prawda, mieszkańcy Krety z dawien dawna nie cieszą się dobrą sławą. Już za greckich czasów nazywano ich kłamcami. Uprawiali ongi z upodobaniem korsarstwo, a lenistwo jest ich znamienną przywarą po dziś dzień, i spowodowało w znacznej części obecne ubóstwo wyspy. Nawet rybołówstwo na wodach sąsiednich uprawiają przeważnie Włosi, podczas gdy Grecy kreteńscy albo wałęsają się po ulicach i licznych kawiarniach, albo też wewnątrz kraju oddają się próżniactwu i pijaństwu. Najdzielniejszą część ludności stanowią tak zwani Sfakioci, mieszkańcy dolin i równin górskich w „Białych górach”. Zachowali oni najlepiej czystą krew grecką i długo jeszcze po zdobyciu wyspy przez Turków utrzymali swoją niezależność.

Turcy są na wyspie w znacznej mniejszości: 90,000 na 210,000 chrześcijan, ale oni to głównie zajmują się handlem i różnemi przedsiębiorstwami, a względem przybywających cudzoziemców odznaczają się uprzedzającą grzecznością i uprzejmością.

Kreta ma kształt, niby długiej jaszczurki, leżącej równolegle do równika. Środkiem jej przechodzi pasmo gór dość wysokich. Brzeg północny obfituje w zatoki, i główne miasta leżą na tym brzegu, a mianowicie Kandya, największe, liczące 25,000 mieszkańców, Rethymnum—9,000, i Kanea—18,000. Większość mieszkańców miast stanowią Turcy.

Miasta kreteńskie, jakkolwiek brudne, zaniedbane, pełne zapadających się domów i psów, wałęsających się po ulicach, zajmują swoją odrębnością i niezwykłością, a Kanea, widziana od strony morza, przedstawia widok niezmiernie malowniczy. Wszystkie te miasta noszą jeszcze dotąd ślady panowania weneckiego; liczne ruiny budowli przypominają tę sławną królową mórz; obok nich strzelają ku niebu minarety, i wznoszą się domy tureckie z płaskimi dachami, w głębi zaś widnieją szczyty „Białych Gór”, latem tylko wolne od śniegów.

W głębi kraju również spotkać można wszędzie pozostałości epoki minionej i ślady czasów ostatnich. Liczne klasztory, wyglądające jak warownie, rozrzucone tu i owdzie, są jedynymi miejscami, w których młodzież kreteńska otrzymuje jakie takie wykształcenie. Przyroda bujna i malownicza. Lasów co prawda mało i niewielkie, ale natomiast pełno gajów oliwnych; rosną też obficie drzewa pomarańczowe, cytrynowe i migdałowe, krzewy, okryte wonnymi kwiatami, i ścielą się łąki zielone. Miód i wino z Krety nie ustępują włoskim ani hiszpańskim. Gdyby nie ciężkie rządy tureckie, ciągłe walki i niesnaski i trochę mniej lenistwa ze strony mieszkańców, mogłaby Kreta odzyskać na nowo swoją odwieczną nazwę — szczęśliwej wyspy.

J. B.

Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

bieguna północnego.

(Dalszy ciąg).

Kiedy mu Reynolds zaproponował, żeby został na okręcie dla dozoru psów, zgodził się chętnie, bo do swoich wychowawców bardzo był przywiązany.

Na jego prośbę zbito z desek wielką budę na pokładzie, którą Snyder wysłał mchem, aby psy zabezpieczyć od chłódów, a bardziej jeszcze od ngly i deszczu, na które w ogóle wszystkie zwierzęta są bardzo wrażliwe.

Tymczasem Nieustraszony płynął przez morze Karyjskie do przylądka Czeluskin, który jest najbliższym wysuniętym na północ punktem całej Syberyi. Za owym przylądkiem, więcej na południe, wpada do morza Lena, i u jej delty Reynolds spodziewał się spotkać lorda Daybreak, który odbył podróż przez całą Syberję, aby się z nimi połączyć.

Droga wciąż była otwarta, i z wyjątkiem gór lodowych, których unikano szczęśliwie, wędrowcy nasi nie napotkali innych przeszkód. Wiatr dał pomyślny, to też nie palono pod kotłami, lecz używano żagli, które rozpięte do ostatniego, szeleściły na wietrze. W ten sposób kapitan oszczędzał węgla, co było tem konieczniejsze, że nie czekając przy wyspie Wajgacz na okręt, który miał mu przywieść pięćdziesiąt ton węgla, popłynął dalej, obawiając się straty czasu.

Gdy dopłynęli do przylądka Czeluskin, zwrócono dziób Nieustraszonego na południo-wschód, aby zarzucić kotwicę przy delcie Leny. Naprzeciwko ujścia Anabary spotkała ich straszna burza na morzu, pokrytem krą. Niepodobna opisać, co się działo ze statkiem; odłamy lodu wpadały na pokład, uderzały o boki statku, były o maszty.

Zdawało się, że nadszedł ostatni dzień okrętu. Bałwany podnosiły się, jak góry, a na ich szczycie połyskiwała przezroczysta kora, która, jak lawina, waliła się na okręt, sprawiając huk jak gdyby piorunów. Zaden statek nie zuiósłby takiego uderzenia, ale Nieustraszony zbudowany był unyślnie na podróż po morzu lodowatym i choć skrzypiał, choć się

maszty gięły, jednak przetrwał trzydniową burzę, i po upływie tego czasu Reynolds znalazł się przy ujściu rzeki Olenek.

— Czy płynąć, czy pozostać nadal na rozkołysanym morzu? Jedno i drugie było bardzo niebezpieczne. W poprzek rzeki ciągnęła się wielka ławica kry, której pojedyncze kawały ze zgrzytem ocierały się o siebie. Lecz dalej widać było spokojne wody rzeki, która nie płynęła, lecz zdawała się tonąć w morzu.

Reynolds postanowił próbować szczęścia; on i Sigurd stanęli u steru, Józef wszedł na wyższy pomost, aby stamtąd widzieć, co się dalej dzieje, i znakami kierować towarzyszy. Rozwinięto wszystkie żagle pomimo wiatru, i statek pędził, a ręką leciał na ów wał, zamykający rzekę. Głos Józefa ginał w wietrze, lecz rękami wskazywał kapitanowi, w którą stronę ma okręt kierować. Nagle łód otoczył okręt, rozległ się straszny zgrzyt jak gdyby zdzierano całą zewnętrzną powłokę Nieustraszonego, jeszcze chwila niewypowiedzianej trwogi, i okręt wpadł na spokojne wody rzeki i niebawem stanął umocowany na kotwicy pod ochroną stromego wybrzeża.

Reynolds umówił się z lordem Daybreak, że tu się mają spotkać. Zaraz też wysiadł na brzeg w towarzystwie Sigurda i Snydersa, ale zamieszkała w pobliskiej wiosce ludność nic nie wiedziała o Europejczykach.

Nie było rady, trzeba było czekać, ale Reynolds powiedział sobie, że najdalej za dwa tygodnie musi opuścić brzegi Syberji, a to z powodu późniejszej pory roku, obawiał się bowiem, że mroz pozanyka wszelkie przejścia i będzie ich trzymał uwięzionych, kto wie, może lata całe.

Mińnięto dziesięć dni. Czas ten poświęcił Reynolds na wycieczki po okolicy; choć pusta i płaska, nie była zupełnie pozbawioną uroku. Wycieczki te odbywano saniami, ciągniętymi przez psy, i podróżni nasi nie mogli się wydziwić, jak te mądre stworzenia słuchały każdego skinienia Snydersa.

W czasie jednej z takich wypraw Collin, który miał wzrok bardzo bystry, ujrzał zdaleka na śniegu czarny punkt, który się zwolna zbliżał. Olaf przyłożył lornetkę do oczu, lecz przez długi czas nie mógł rozróżnić, czy to był człowiek czy zwierzę, i dopiero znacznie później poznano w tym samym wędrowcu lorda Daybreak, który wyprzedził karawanę, aby się prędzej połączyć z towarzyszami.

IX.

W okowach lodowych.

W trzy miesiące po spotkaniu nad rzeką Olenek znajdujemy naszych podróżnych pod osmdziesiątym stopniem szerokości północnej, a 160° długości. Nadszedł mroźny i ciemny listopad, kiedy słońce zaledwie unosi się nad horyzontem, aby po chwili znowu utonąć w morzu, jak gdyby nie chciało patrzeć na ciemno szafirową wodę, na łód i śniegi.

Przez te trzy miesiące odważni wędrowcy musieli znosić trudy nie do opisania. Z początku, idąc za radą lorda Daybreak, Reynolds trzymał się brzegów Syberji, gdzie morze dłużej bywa wolne od lodów z powodu cieplejszych wód, wlewanych przez potężne rzeki jak Lena i Indigirka. Ale na wysokości wysp Niedźwiedziej zwrócono dziób okrętu wprost do bieguna, i wtedy zaczęła się prawdziwa walka z żywiołami.

Co parę dni nadchodziły burze tak gwałtowne, że trzeba było niezmiernej zręczności i przytomności umysłu, aby kierować statkiem w pośród pływających mas lodu. W dzień było to zadanie nielada, a cóż dopiero w nocy, kiedy ze wszech stron groziło niebezpieczeństwo, którego niepodobna uniknąć, bo się go nie widzi.

Czasem chmury rozwiewał wicher, i przy blasku gwiazd lub księżyca ukazywał się olbrzymi bałwan, w obec którego statek zdawał się łupiną orzecha, czemś tak małym, tak słabym, że pojąć trudno, jak ludzie mogli mu powierzyć swoje życie.

Dnie stawały się coraz krótsze. Godzina hrzasku, godzina dnia, i znów się ciemno robiło.

Razu pewnego Reynolds, wyszedłszy na pokład, ujrzał ze zdziwieniem, że otacza go czyste morze bez śladu kry i gór lodowych. Wiatr dał silny i okręt korzystając z tego, rozwinał wszystkie żagle i jak ptak leciał naprzód.

— Nie należy się bardzo rozpedzać — rzekł Sigurd — bo nie wiemy, jak daleko ciągnie się to czyste morze.

— Jak myślisz, co później spotkamy?

— Z pewnością ławicę stałego lodu.

Przez całą noc nikt oka nie zmrużył, nasłuchując, czy z której strony nie da się słyszeć huk fal, rozbijających się o wybrzeże. Ale zewsząd było cicho, dopiero o brzasku chłopak na bocianiem gnieździe ujrzał w oddali białą smugę lodu.

Reynolds skierował statek w tę stronę, ale nie mógł wpłynąć między bryły, gdyż rozkołysane morze rzucało jedno o drugie. Dopiero następnego dnia, gdy się fale uspokoiły, „Nieustraszone” wszedł w ławicę, powoli zagłębiając się coraz dalej.

W parę dni później dopłynęli do 85°, to jest tak daleko na północ, jak jeszcze żadna wyprawa nie doszła. O południu dano znać kapitanowi, że na przedzie widać olbrzymie, kryształiczne góry lodowe. Reynolds kazał się do nich zbliżyć, a potem zatrzymał okręt.

— No, teraz możemy sobie odpocząć — rzekł przy obiedzie. — Zwinęliśmy żagle, zgasiliśmy ogień pod kotłami, teraz nie pozostaje nam nic innego do zrobienia, jak wyrąbać mały port w lodowcu i schronić się do niego. Już dalej nie popłyniemy, chyba z ławicą.

Pokazało się jednak, że wyrąbanie, a raczej wypiłowanie portu dla „Nieustraszonego” wymaga więcej pracy, niż się kapitan spodziewał. Trzeba nawet było użyć prochu, gdyż inaczej nie było sposobu odrywać bryły.

Nareszcie po tygodniowej robocie wprowadzono okręt do portu w ten sposób, że zewsząd był otoczony lodem i wyglądał, jak klejnot w szkatułce. Jedna strona była tylko otwarta, ale i tu miał Reynolds nadzieję, że morze z czasem silny mur wybuduje.

Słońce teraz zupełnie nie wschodziło, tylko raz w południe ukazywał się na brzegu rąbek purpury, który oświecał obłoki na horyzoncie i zdawał się przenikać przez ocean. Był to zarazem wschód i zachód słońca.

Ciemności rozświecały tylko gwiazdy i księżyc, który całymi tygodniami zupełnie nie zachodził, lecz zataczał krąg nad samym horyzontem. Nieraz chłopcy stojąc na pokładzie, przyglądali się jego bladej twarzy, myśląc, że ich krewni w Szkocyi także na niego patrzą i pewnie myślą o nieobecnych. Ale najciekawszym zjawiskiem była niewątpliwie zorza północna, która nagle rozświecała niebo i również niespodziewanie gasła. Z jednej strony horyzontu wystrellał snop światła, za nim drugi, trzeci, wszystkie biegły do zenitu, gdzie się łączyły, wydając słaby szmer, jak gdyby daleki trzask z bicia, albo pryskanie iskier. Promienie te są zazwyczaj żółte, zdarza się jednak, że bywają zabarwione na zielono, błękitno i czerwono. Mnie samego najbardziej uderzyła zorza purpurowa, którą widziałem w czasie śnieżnej zamieci; wtedy każdy płatek wyglądał jakby krwią przesiąknięty.

Reynolds wiedział dobrze, że bezczynność jest największym wrogiem tego rodzaju wyprawy, jak jego. Wtedy łatwo o smutek, znudzenie, a za niem idzie tęsknota za krajem, jednym słowem owa straszna nostalgia, która podkopuje zdrowie i czyni ludzi niezdolnymi do żadnej pracy.

Służba na okręcie odbywała się z taką samą dokładnością, jak wówczas, gdy „Nieustraszone” żeglowało po morzu. Oficerowie robili obserwacje, zapisywali temperaturę, kierunek i siłę wiatru, stan nieba, zmiany księżyca; majtkowie obowiązani byli utrzymywać okręt w czystości, co przy wielkim mrozie zabierało im dużo czasu.

Wieczorem starszyzna zbierała się w salonie. gdzie się zabawiano muzyką, śpiewami, które, choć nie wyuczone i może niezbyt zgodne, robiły wiele przyjemności wykonawcom i słuchaczom.

— A gdybyśmy tak dla różnaitości zbudowali domek ze śniegu. zaproponował razu pewnego Collin.

— Wybornie! Pałac kryształowy — zawołał lord Daybreak.

— Strzeżcie się odmrożenia — rzekł Rudland Syme, który wszedł na tę rozmowę, bo choć to niby nie choroba, to jednak może pociągnąć za sobą bardzo złe skutki.

Zaczęto więc budować pałac przy pierwszej pełni księżyca, na jednym z pobliskich wzgórków. Najwięcej czasu zajęło pilowanie brył, gdyż szło o to, aby mocno leżały jedna na drugiej, a zatem musiały być wszystkie jednakowych rozmiarów. Zamiast wapna używano wody, którą oblewano ściany.

Lord Daybreak, który kierował robotami, najwięcej pracował się przy układaniu sklepienia. Użył do tego łuków drewnianych, które usunięto, gdy ostatni kamień został włożony.

Pałac ten składał się z trzech pokoi, poprzedzonych wielką halą z kolumnami; front ozdabiały dwie spiczaste wieżyczki i całość, gdy zapalono wewnątrz kilka pochodni, robiła czarujące wrażenie.

Cała ta robota zajęła nie więcej, jak trzy tygodnie czasu. Tymczasem temperatura obniżyła się do 40° niżej zera, i choć pogoda była cicha, bez wiatru, to jednak mróz ten sprawiał niezmiernie cierpienia, zwłaszcza w nocy, gdy niepodobna było ogrzać zmrożonej pościeli.

Colin i Olaf wpadli na pomysł, ażeby pałac kryształowy zamienić na teatr, gdzieby grywano sztuki, przez nich napisane. Więc zbudowali scenę podwyższoną i dwa ogromne piece, a wieczorami każdy z nich pracował nad utworem scenicznym, dziwiąc się, że mu takie świetne pomysły przychodzą do głowy.

Najwięcej trudu przyczyniły im stroje, które trzeba było sporządzać ze skór i flaneli, ale i te się wybornie udały. Więc rozpoczęły się próby nietylko samej sztuki, ale i tańców, które miano wykonywać w antraktach. Powoli te próby zamieniły się w przedstawienia, bo cała załoga chodziła przyglądać się grze aktorów, i przynajmniej trzy razy na tydzień zbierano się w kryształowym pałacu, aby się tam zabawić do późnej nocy.

X.

Czarna śmierć.

Długa, czarna noc podbiegunowej zimy zbliżała się do końca. Już na południu różowiło się niebo, już powietrze stawało się łagodniejszym i jednego dnia brzeżek słońca jak iskra, ukazał się nad równiną lodową.

Niepodobna mi opisać radości, z jaką podróżni nasi witali powrót światła. Ale radości im psuła myśl, że słońce się ukaze i znów skryje, a oni do domu jeszcze nie powrócą.

— Nie myślmy o tem, co nas czeka — rzekł Olaf — cieszymy się z chwili obecnej. Jest nam dobrze, pocóż mamy rozmyślać, że nam może być źle?

Noc minęła, ale mróz trwał ciągle, bo nie wyobrażajmy sobie, żeby na północy lato podobne było do naszego. Marynarze powiadają, że pod biegunem zima trwa całe lato.

Reynolds z radością zauważył, że okręt z całą ławicą posunął się o 250 mil na północ. Sprawdzały się więc jego przypuszczenia, i teraz pewien był, że po upływie roku czy paru lat przepłynie biegun i w okolicach Grenlandyi wydo- stanie się na morze.

Na wiosnę upadły ogromne śniegi, które pokryły lód tak gęstą skorupą, że zarównały wszystkie szczeliny i cała przestrzeń wyglądała, jak jedna nieprzerwana równina.

Rozpoczęto więc wycieczki saniami, do których zaprzęgano psy. Biedne te zwierzęta, pozbawione ruchu przez całą prawie zimę, nie posiadały się z radości.

— Wiecie, gdzie teraz jesteście? — rzekł Reynolds, schodząc razu pewnego do salonu. Jesteście o trzysta mil od biegunu. Już niedługo nadejdzie ten dzień, kiedy zatkniemy sztandar angielski, gdzie wschód spotyka się z zachodem, gdzie już na północ od nas nic nie będzie, a gdziekolwiek zwrócimy się twarzą, wszędzie będziemy mieli przed sobą południe.

— Hurra — zawołał Collin i Józef jednogłośnie.

Na to nadszedł Rudland Syme i usiadł przy stole nie mówiąc do nikogo ani słowa.

— Co się stało naszemu doktorowi? — zapytał wesoło Reynolds.

Rudland uśmiechnął się z roztargnieniem i wzięwszy talerz z ręki służącego, zaczął się bawić widelcem i nożem.

— Sam nie wiem, jak wam to powiedzieć — zaczął i urwał.

— Ale mów prędzej, bo tak mnie jeszcze więcej niepokoisz.

— Pan wie, że wczoraj parę psów było chorych?

— No i cóż? poginęły?

Poginęły wszystkie!

— I na co?

— U nas by to nazwali żółtaczką, ale jest to najstraszniejszy rodzaj tej choroby. Robiłem na jednym sekcye i znalazłem, że cała wątroba była już rozłożona.

— Więc to żółtaczką?

— Gorzej, to czarna śmierć!

Wszystkich przeszedł dreszcz od stóp do głowy. Sigurd wypuścił z rąk widelec i miał minę tak przerażoną, że kapitan rzekł do niego:

— Sigurdzie, ty ze swoim długoletniem doświadczeniem wiesz zapewne, co to jest czarna śmierć.

(d. c. n.)

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY**, na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

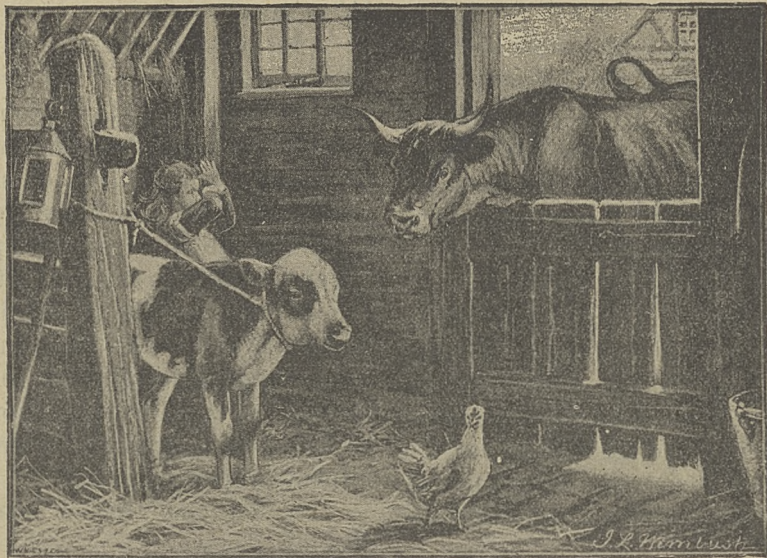
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Wyspa Kreta (z ryc.) — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i biegunu północnego. — Dodatek: Bez domu (z ryc.) — Swawolny Antoś, wiersz przez N...a. — Zażegnana kłótnia. — Łamigłówki i rozwiązania. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE



... czerwona krowa z podniesionymi rogami biegła ku obórcie...

BEZ DOMU.

(Dalszy ciąg).

Znikły obawy Kazi; była już we Wnorach. Stryj zsadził ją z wózka, chłopak z latarką w ręku przyszedł odebrać konia, a dziewczynka z towarzyszem swoim weszła do domu. Pan Marcin wprowadził ją do obszernej izby z kominem pośrodku; Kazia trwożnym wzrokiem szukać zaczęła owej stryjenki, która jej miejsce matki zastąpić miała i którą tak szczerze pragnęła pokochać.

— Masz tę małą Warszawiankę — odezwał się Marcin do stojącej przy kominie żony.

Była to wysoka, chuda, o ostrych rysach i surowym wyrazie twarzy kobieta; wyciągnęła chłodno rękę na powitanie dziewczynki, ale jej nie przygarnęła pieszczotliwie do siebie, nie złożyła pocałunku na jej czole. Kazia rada z tego była, bo ją ta wysoka, o surowym obliczu stryjenka strachem przejmowała, mimowoli cofnęła się w tył przed jej przenikliwym spojrzeniem.

— Cóż to, panna się boi dotknąć ręki prostej, wiejskiej szlachcianki? — zapytała pani Marcinowa z przekąsem — a jednak Bogu podziękuj, żeś tu u nas schronienie znalazła, inaczej musiałabyś się tułać po świecie i wycierać cudze kąty. My, co prawda, na te ciężkie czasy i tak za dużo gąb do żywienia mamy, ale skoro ojciec twój przed śmiercią przypomniał sobie zapomnianych

oddawna krewniaków, to już z tobą naszym nędznym kawałkiem chleba podzielić się musimy. Wnorowska szlachcianka nie powinna żebrać łaski u obcych.

Takie było przyjęcie sieroty w domu stryjostwa.

II.

Kazia, zmęczona podróżą, spała mocno, i słońce stało już wysoko na niebie, gdy się na drugi dzień przebudziła. Ubrała się spieszenie, z mówiła pacierz, a potem wyjrzała przez wąskie okienko poddasza, przeznaczone jej na sypialnię. Małe podwórko przed domem ogrodzone było niskim żerdziowym płotem, za nim ciągnęło się kilka zagonów z zasadzonym świeżo warzywem, obok widać było małą sadzawkę, po której pływało kilka kaczek i gęsi, dalej czerniło się gołe pole, nie umajone jeszcze zielenią wschodzącego zboża; to wszystko. Dziewczynce, przyzwyczajonej do ruchu miejskiego, smutnym wydało się to obrazem.

Zeszła na dół, ale w izbie nie zastała już nikogo, tylko pozostałe na stole łyżki, miski i okruchy chleba świadczyły, że gospodarstwo i dzieci byli dawno po śniadaniu. Dziewczynka smutnie spojrzała na te resztki jedzenia; czy i ona z miski prostą strawę spożywać miała? ona, którą matka i ojciec tak psuli, której tak dogadzali, znosząc przysmaki i łakocie. Kazi lzy stanęły w oczach, i już gotową była się rozplakać, gdy w tej chwili właśnie ktoś ukazał się na progu. Był to chłopiec kilka lat od niej starszy,

z twarzą okrągłą, czerwoną, oczyma wylupiastemi, rudawym zarostem włosów, ten sam, który wczoraj na ich spotkanie wyszedł z latarką w ręku. Przez chwil kilka przypatrywał się dziewczynce, a potem roześmiał się złośliwym, szyderczym śmiechem, przyczem grube jego szerokie usta jeszcze szerszemi i brzydszemi się wydały.

— Czy ty zawsze teraz będziesz mieszkała z nami? — zapytał w końcu.

— Tak myślę, jeśli stryjostwo na to pozwoli — odparła dziewczynka — jesteś zapewne jednym z moich braci stryjecznych?

— Nazywam się Franek Wnorowski, jestem najstarszy z rodzeństwa — objaśnił z pewną butą chłopak.

Kazia zaczęła uważniej przyglądać się kuzynkowi; ze zdziwieniem spostrzegła, że szary spencerek miał przewiązany fartuchem ze zgrzebnego płótna. Dziwnem jej się to wydało, bo nigdy nie widziała jeszcze piętnastoletniego chłopca w płóciennym fartuchu.

— Dlaczego ty to nosisz? — zapytała ciekawie.

— I ciebie niedługo w taki sam fartuch ubiorą — odparł Franek, śmiejąc się znowu złośliwie — dlatego głównie cieszę się, żeś tu przyjechała. Dotychczas ja musiałem matce pomagać przy doju krów i w robieniu masła, ale takie zajęcia to dobre tylko dla kobiet. Już nie będę więcej szorował szkopków i dzieżek, nie będę ugniatał twarogu na sery! — dowodził chłopiec, klaszcząc radośnie w ręce.

— Co ty robisz, nieponiu! czy nie masz roboty, że czas tracisz na daremnej paplaninie? Chcesz znowu dostać za uszy? Ruszaj zapędzić prosięta do chlewa, potem wyszoruj kierzenkę.

Franek wybiegł coprędzej, a matka jego weszła do izby; poplamiona odzież, poczernione ręce świadczyły, że siebie także nie oszczędza przy pracy. Nalala Kazi trochę barszczu w miseczkę i podała jej kawałek razowego chleba. Nie takie śniadanie zwykła była jadać dziewczynka u rodziców swoich, ale głód jej dokuczał, a kto głodny, temu i najprostsza strawa smakować musi. Podczas gdy jadła, stryjenka zaczęła potrochu z nią rozmawiać; nie przemawiała do niej tak ostro, jak do Franka przed chwilą, ale surowy wyraz twarzy pani Marcinowej przerażał sierotę, czuła, że nie będzie mogła przywiązać się do niej.

Od stryjenki dowiedziała się Kazia, że stryj od wczesnego rana w polu orką zajęty, że młodszy syn ich Jaś poszedł do szkółki, będącej w sąsiedniej wsi, gdzie zwykle już cały dzień przepędzał. Kazia zapytała nieśmiało, czy i ona z nim do szkoły chodzić będzie, ale odebrała odpowiedź, że niewolno jej o tem myśleć, że nie może być bezużytecznym darmozjadem, i że stryjenka musi się przekonać, czy synowica przyda się na co w domu.

Dziewczynka rozumiała dobrze, że nie godzi jej się siedzieć z założonemi rękoma, zabrała się też zaraz do sprzątnięcia i zmywania naczyń po śniadaniu, a robiła to tak zręcznie, że nawet wymagająca pani Marcinowa nie znalazła do przygany, lubc miała zwyczaj nigdy nie chwalić, a zawsze łajać i zrzedzić.

Kiedy p. Marcin w porze obiadowej powrócił, Kazia zauważyła, że nie był rozmowniejszy w domu, aniżeli wczoraj na wózku; twarz jego mimo grubych i niekształtnych rysów, miała wyraz szczerzej dobroci, chociaż mało-

wała się na niej troska i zmęczenie. Czuła też, że tego zapracowanego, zmordowanego stryja prędzej pokochać będzie mogła, niżeli jego surową i gderliwą żonę.

Dziewczynka, zajęta porządkowaniem i zmywaniem statków, zaledwie przed wieczorem otrzymała od stryjenki pozwolenie przejścia się trochę po podwórzu. Wyszedłszy za próg domu, zobaczyła Franka, idącego z koszykiem.

— Kazia, słuchaj! — zawołał zwykłym sobie gburowaty głosem — idę jaja kurom podbierać, czy chcesz iść ze mną?

Ma się rozumieć, że chciała widzieć kury na gniazdach, tego nigdy nie widywała w Warszawie, pobiegła więc za chłopcem, który zdobył się na wyjątkową u niego uprzejmość i przytrzymał dla dziewczynki furtkę, prowadzącą na okólnik gospodarski. Najpierw weszli do stajenki, tam Franek wdrapał się na pułap i w plewach szukał przypadkiem znoszonych przez kury jajek, każde znalezione składał do koszyka, który Kazia trzymała w ręku. Dziewczynce tak się to zajęcie podobało, że jej chłopiec obiecał, iż w obórcie, gdzie kury mają swoje grędy, ona sama z gniazd, umyślnie na to urządzonych, jaja wybierać będzie. Przeszli więc do obórki, w której zastali śliczne małe cielątko, krowy bowiem, skubiąc trawę, chodziły swobodnie po podwórzu.

— Tu pod żłobem znajdziesz gniazdo — objaśnił Franek dziewczynkę — wybierz z niego wszystkie jaja, jedno tylko zostaw kurze na pociechę.

To mówiąc, otworzył Kazi furtkę, a sam pozostał na dworze przed oborą. Kazia pod żłobem, do którego przywiązane było spłoszone jej widokiem cielątko, znalazła cztery duże jajka i właśnie składała je do koszyka, gdy nagle rozległ się krzyk Franka:

— Idzie, idzie ta wściekła krowa, uciekaj, Kaziu! uciekaj co tchu! I sam znikł natychmiast.

Istotnie, czerwona krowa z podniesionemi groźnie rogami biegła ku obórcie, której drzwi ledwo przymknięte były. Krowa ta, słysząc uporne beczenie cielęcia, przestraszonego widokiem nieznanym dziewczynki, biegła swemu małemu na pomoc.

Biedna Kazia, pozostawiona bez obrony wobec rozdrażnionego zwierzęcia, nie wiedziała, jak sobie radzić; przestraszonym wzrokiem wodziła dokoła i odetchnęła trochę, ujrzawszy obok siebie w szparze drewnianej ściany małe oczy a szerokie usta Franka; ten, uciekający z podwórza, stanął po drugiej stronie budynku, gdzie wiedział, że go krowa dosięgnąć nie może. Tu dopiero zaczął objawiać wielką trwogę o pozostałą w oborze dziewczynkę.

— Nie ruszaj się z pod żłobu, nie zbliżaj się do cielęcia, krowa gotowa cię na śmierć roztratować. To najdziksze bydlę w naszej oborze!

— Ona furtkę rozbije rogami i wpadnie tu na mnie! — wołała dziewczynka, drżąc ze strachu i zanosząc się od płaczu.

— Z pewnością to zrobi — mówił nielitościwy chłopiec — furtka i tak słabo trzyma się na zawiasach. Zawsze jednak bezpieczniej ci siedzieć w oborze, aniżeli próbować wyjść na podwórze, bo wtedy krowa niechybnie porwie cię na rogi.

Dowodzenie takie nie mogło uspokajać nieszczęśli-

wej dziewczynki, która w śmiertelnej obawie siedziała pod żłobem w oczekiwaniu napaści rozdrażnionego zwierzęcia.

(d. c. n.)

Swawolny Antos.

O Antosiu każdy powie,
 Że ma bardzo pusto w głowie,
 Że koncepta wszystkie jego
 To na pewno nic dobrego.
 Ot i teraz, zgadnąć proszę,
 Jaki pomysł mu zaświtał,
 Chcąc podrażnić swą siostrzyczkę,
 Jej małego kōtka schwytał;
 „Nauczę go gimnastyki,
 Niechaj z piętra na dół skacze”!
 I tak kotka podniósł w górę,
 Aż Marylka rzewnie płacze.
 Kotek miauczy — bo choć skakać
 To zabawa i uciecha,
 Lecz z drugiego piętra na dół,
 Mało komu się uśmiecha!
 Płacz Marylki, wrzaski kotka
 Wreszcie ojca aż zwabiły,
 I tych figlów dla Antosia,
 Koniec wcale nie był miły...
 Ale odtąd już z rozumnieją
 Delikatniej się zabawia,
 Pomnąc, że nic nie wart figiel,
 Który drugim przykróść sprawia.

N....a.

ZAZEGNANA KLÓTNIA.

BAJKA.

W polu rosły obok siebie len i konopie. Łodygi konopi, znacznie wyższe, patrzyły z pogardą na małe, wątłe łodyżki lnu, do połowy im nawet nie dorastające. Len skarżył się, że mu konopie zabierały dużo powietrza i słońca, że nie dopuszczały do niego najmniejszego podmuchu wiatru, ani jasnego promyka.

— Jakże ja dojrzeć mogę — wyrzekął — jeżeli zabieracie mi wszystko, co jest konieczne do mego istnienia.

— Nędzna roślino, — odparły konopie — wartoż się się troszczyć o ciebie? wielka mi pociecha z tych paru nittek, jakich dostarczasz. Ja, to co innego, gdy rosnę, długość nici we mnie także się powiększa.

— Zapewne — tłumaczył się len — moje nitki nie są tak długie, jak twoje, lecz są bielsze i cieńsze.

— Moje są żółtawe, to prawda, ale za to są mocne, ja to przecie dostarczam materiału na liny okrętowe, na żagle, przy pomocy których ludzie mogą odbywać dalekie podróże po morzu. Ty nigdy nie byłbyś zdolny walczyć z wiatrami tak jak ja to potrafię.

— Nie przeczę — rzekł len uszczypliwie — ze mnie nie zdołanoby zrobić nic równie ordynarnego, lecz i wy byłibyście w kłopotcie, gdyby zażądano od was nittek na tkaniny cienkie, jak pajęczyna, lub na owe delikatne koronki, którymi zachwycają się wszyscy.

— Czego wy się sprzeczcacie — rzekła na to zielona trawka, u stóp ich rosnąca, obie posiadacie równą wartość, gdyż obie równie użyteczne jesteście; ten tylko godzien pogardy, co nikomu i na nic nie jest przydatnym.

— Mamusiu — mówiła po przeczytaniu tej bajki mała Zosia — ja wiem, że len i konopie nie mogą się sprzeczczać, bo przecie rośliny mówić nie umieją, ale sądzę, że w tem, co tu powiedziane, musi być prawda, nie mogę tylko zrozumieć, o co tu chodzi?

— Nie możesz zrozumieć? a jednak to wcale nie-trudne. Bajeczka ta uczy nas, że nie trzeba się chwalić i być zarozumiałym.

— No, to ja wiem, mamusiu, ja nie o to się pytam, znam nawet konopie, to taka duża roślina z ciemnymi liśćmi, podobnymi trochę do kasztanowych, tylko na końcach wąziutkie i ostro zakończone, i len widziałam na wsi u cioci, ma takie śliczne błękitne kwiatki, tylko nie wiem, co to konopie mówią o tych grubych okrętowych linach, czy to się je kręci tak, jak te sznury ze słomy do wiązania snopków?

— Nie, moje dziecko, z konopiami to bardzo długa robota, gdybyś była na wsi jesienią, zobaczyłabyś to wszystko sama, a zajęcia te bardzo ci się pewno podobaly.

— To niech mi mamusia choć opowie, jak się to robi?

-- Najchętniej, moje dziecko, taką ciekawość zawsze w tobie lubię. Przypominasz sobie, jak wyglądają konopie?

— Tak, mamusiu, u cioci cały kawał pola był niemi zasiany, ale nie lubiłam tam chodzić, bo brzydki wydawały zapach.

— Otóż, gdy konopie dojrzeją, wrywają je i rozkładają na polu, aby dobrze wyschły, po paru dniach wiążą je w snopki i zwożą do stodoły, aby wykruszyć z nich ziarna, zwane siemieniem. Ziarenka te znasz nawet dobrze, bo to codzienna potrawa twego kanarka.

— O tak, mamusiu, wyglądają jak maleńkie orzeszki, które mój maciuś tak zgrabnie w dziobku łuszcze.

— Po wykruszeniu, czyli omłóceniu ziarna, snopki łodyg wiozą do wody, w którą je wrzucają, zostawiając na parę tygodni.

— A to poco taka długa kąpiel?

— Wewnątrz łodygi znajdują się miękkie włókna, ale te są silnie przyklejone do kory zewnętrznej; otóż, gdy czas dłuższy poleżą w wodzie, odmiękną, a kora łatwo się od nich oddziela. Nazywa się ta robota moczeniem konopi, potem je znowu wyjmują, suszą na słońcu lub przy ogniu, a następnie za pomocą przyrządu, który nazywają terlicą, gniotą, czyli międlą łodygi; tym sposobem części kory, albo, jak inaczej nazywają, paździerze, odpadają, a pozostaje samo włókno. Robotę tę wykonywają najczęściej w październiku, a nawet miesiąc ten od owej paździerzy nazwę otrzymał. Potem włókna czeszą na drucianych szczotkach, a wreszcie z czystych już włókien przędą nici.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Ułożyła Pszeniczka sandomirska.

Bywam niebieskie, bywam i czarne,
Czasem poważne, czasem figlarne,
Ocienione gęstym lasem
I zwilżone rosą czasem.

LOGOGRYF.

od J. O. dla Noska O.

Z następujących sylab: kon — i — bo — bab — ta — a —
zar — te — o — da — ru — na — ga — par — a — e — o — bo — mi — a
— nau — gol — man — pat — ro — szczuk — ta — ułożyć dziesięć
wyrazów, których początkowe i końcowe litery utworzą
nazwy dwóch szczytów w Beskidach. Znaczenie wyrazów:
1) Drzewo afrykańskie, którego owoc zwą chlebem
małp. 2) Ptak Ameryki połud. z rzędu brodzących. 3) Bohater
z pod Austerlitz. 4) Dopływ Dunaju. 5) Dowódzca kozaków.
6) Miasto w Indostanie, niegdyś stolica. 7) Przełożony
klasztoru. 8) Warownia w Bułgarii. 9) Żeglarz napowietrzny.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Zastąpić kropki literami,
aby litery oznaczone gwiazdkami,
złożyły, nazwę kraju afrykańskiego. 2) Miasto w Serbii. 3) Rzeka syberyjska, dopływ rz. Obi. 4) Miasto warowne w Bułgarii. 5) Angielska miara długości. 6) Dopływ Warty. 7) Zaimek osobowy 3-gi przypadek licz. mnogiej. 8) Samogłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Zagadki: Mak — rak.

Skrzynka do listów.

P. L. K. w Wólce. Planeta, którą Pani widzi obecnie w gwiazdozbiornie Lwa, jest Jowisz. Obiega on drogę swą dokoła słońca w ciągu lat prawie dwunastu, przez trzy lata zatem odkąd go Pani obserwuje, przesunął się już znacznie na sklepieniu niebieskim. W końcu lutego był on w opozycji czyli w przeciwległości ze słońcem, wschodził więc w chwili zachodu słońca, ale i obecnie jeszcze przez całą noc jest widzialny. Planeta zaś czerwona w pobliżu Aldebarana jest to Mars, który obecnie dosyć słabo świeci. Wenus jest obecnie gwiazdą wieczorną i zachodzi dopiero około godz. 10. Świeci ona teraz bardzo silnie, a blask jej wzmacniać się będzie aż do 21 marca. W lunecie przedstawia się w postaci szerokiego sierpa, jak księżyc między drugą kwadrą a nowiem. Gdy Wenus jest na pełni, świeci znacznie słabiej, a to wskutek większego oddalenia od ziemi, jest bowiem wtedy względem nas po przeciwnej stronie słońca; obecnie zbliża się do połączenia dolnego ze słońcem, to jest do położenia między ziemią a słońcem, czyli do najmniejszej swej od nas odległości. Pomimo

to blask jej po dniu 21 marca słabnąć już będzie, gdyż sierp jej przedstawiać się będzie jakby wycięty z koła coraz większego, ale zarazem coraz też węższym stawać się będzie. — Planeta, którą Pani o świcie widziała na zachodniej stronie nieba, jest zapewne znowu Jowisz, który wieczorem wschodząc, rano zachodzi. Saturn wschodzi teraz około północy, Merkury zaś na pół godziny przed wschodem słońca, ale trudno go dopatrzeć. Uran jest gwiazdką nader słabą, a Neptun i drobne planety bez pomocy lunety są niewidzialne.

Stanisław Kramsztył.

Chociaż radzibyśmy dogodzić *Róży*, jednak nie możemy podjąć się zamiany marek pomiędzy czytelnikami. Obszerna geografia Nałkowskiego dla starszych kosztuje rs. 3, a krótsza Nałkowskiej kop. 75. Rozwiązanie dobre i liścik porządnie napisany.

Placząca brzoza obdarzyła nas znowu miłym bardzo liścikiem. Radzi jesteśmy, że cię nasze uwagi nie zraziły, żeś je przyjęła i zrozumiała uczucie serdeczne z jakim ci one były posłane. Łamigłówkę i szarady postaramy się zużytkować.

Ryszard Lwie serce może korespondować z Jaskółką, bo ona równie chętnie odpisuje na listy czytelników jak i czytelniczek Wieczorów. Rozwiązanie łamigłówni dobre.

Podzielamy boleść twoją *Zajączku*, gdyś się dowiedział o utonięciu tych dwóch ludzi, niosących listy z poczty. Trochę o zaginiony numer zaradziliśmy z łatwością wysyłając drugi, który zapewne musiałeś już otrzymać.

Bajka, którą nam przysłał *Świerszcz* z nad Niemna bardzo nam się podobała. Przy szaradach nie znajdujemy rozwiązania, a wiersz i układ bardzo niejasny.

Początek powieści „Wśród chmur i słońca” dla *Koraliny* wysłaliśmy natychmiast po odebraniu listu, a witając w niej nową czytelniczkę, mamy nadzieję, że pozyskamy i nową korespondentkę.

Dobre rozwiązania łamigłówek, szarad i rebusu nadesłali: *Cygan*, *Mała blondynka*, *Litwinka*, *Lilijka*, *Dora G*, *Anielka R.* *Złota rybka* i *Miecz. Ster.*; ten ostatni wraz z *Edwardem Dług...* przysłał nadto łamigłówni, które o ile się okażą odpowiedniami, będą drukowane.

Załatwiłam polecenie twoje w Redakcyi, Konwalijko z nad Kubani, wysyłkę pisma wstrzymaj, dopóki nie przyslesz nowego adresu. Wystawiam sobie, że rada być musisz, jadąc za granicę; zobaczysz wiele ładnych i ciekawych rzeczy, a podróżując i nauczyć dużo się możesz. Smutno tylko, że choroba siostrzyczki jest powodem wyjazdu, trzeba jednak mieć nadzieję, że ciepły klimat i ożywce powietrze zupełnie jej zdrowie powrócą.

Łamigłówni i szarady Litwinki i Lilijki złożyłam w Redakcyi, co o nich orzekną — nie wiem. Dodatki z początkiem wychodzącej obecnie powieści już wam wysłano, zwłoka w wysyłce nastąpiła skutkiem tego, że w pierwszym liście nie przysłałyście dokładnego adresu.

Cieszę się kochana Łątko, żeś wznowiła naszą korespondencję po tak długiej przerwie, bo miło zawsze spotykać dawnych znajomych. Gołąbka jest już, jak to mówiłam innym czytelnikom Wieczorów, mężatką, wzorową gospodynią i matką małego synka. Józio pracuje od niedawna w zagranicznej fabryce wyrobów chemicznych, co do mnie uczyć się już przestałam, lecz pomimo to nie próżnuję, bo staram się być zawsze zajęta pożytecznie. Chciałabym ci przesać żadaną komedyjkę, ale obawiam się, że za mało już po temu będzie czasu, bo zanim ją wynajdę, muszę wiedzieć w jakim wieku są aktorzy, ilu chłopców, a ile panienek?

Halinco R. z Mławy. Pseudonym, który mieć pragnie zawsze nam miła dawna korespondentka, już zabrała inna czytelniczka Wieczorów, prosimy przeto o wyszukanie sobie innego.

Znalazłam wielkie postępy w twojem piśmie, kochana Pliszko — znać, że już na serio zabrałaś się do nauki. Jak ci się miasto podoba, czy tęsknisz za wsią? Donieś mi o tem, gdy znajdziesz chwilę wolnego czasu i przypomnisz sobie o zawsze życzliwej:

Jaskółce.